

MONIKA Sawicka
MONIKA Kamieńska

M do kwadratu



Wydawnictwo *MAGIA SŁÓW*

Monika Sawicka
Monika Kamieńska

M DO KWADRATU

© **Monika Sawicka, Monika Kamieńska 2012**

ISBN wersji drukowanej 978-83-7859-009-5

ISBN wersji elektronicznej 978-83-7859-008-8

Projekt okładki: Tomasz Krzan
www.a3m.pl

Korekta, skład i łamanie: Katarzyna Krzan
www.e-bookowo.pl

Wydawca:
Wydawnictwo literackie „Magia słów”
Monika Sawicka
Wydawnictwo internetowe e-bookowo

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2012

[Kup książkę](#)

MS

Kochana moja M.

To prawda, że życie zaczyna się po czterdziestce. Urodziny miałam zaledwie kilkanaście dni temu, a mój świat stanął na głowie. Nie, żeby sam tak z siebie, pomogłam mu, mimo braku akrobatycznych zdolności. Natomiast talentów do komplikowania sobie życia mam aż nadto i moja podświadomość z tego korzysta bez opamiętania.

Chcę być dobra. Po prostu dobra, wcale nie najlepsza. Zawsze wszystkie „naj” mnie przerażały. Nie dlatego, że jestem mało ambitna. Chcę wszystko robić w życiu dobrze i na tysiąc procent, nie mam przerostu formy nad treścią i chyba mam słabo rozwinięty gen rywalizacji, o ile w ogóle jest. Co wcale nie znaczy, że jestem przeciętna. Bo ja, moja Droga, jestem nieprzeciętną osobowością i świadoma tego aż do bólu, uczyć się ze sobą żyć. Bo to ważne: – kiedy będę знаła instrukcję obsługi samej siebie – po prostu ją skseruję, oplakatuje miasto, roześlę jako newsletter znajomym i życie stanie się piękne. Ale nudne. Bo najfajniejsza jest chyba nieprzewidywalność, element zaskoczenia (Ty wiesz, jak ja samą siebie potrafię zaskoczyć?), adrenalina, niepewność. Ale nie idę do celu po trupach, no chyba, że po swoim. Bo ja wszystko robię z poświęceniem. Oddaniem, wielką radością i zaangażowaniem. Zasadniczo mi wychodzi. Czasem lepiej, czasem gorzej, ale ogarniam. Z jednym mam natomiast problem.

Karmiłaś piersią swoje dzieci? Ja tak, wykarmiłam sztukę jedną, dziś ma dziewiętnaście lat i nawet nie myśli, żeby cya pociągnąć, czego bardzo żałuję, bo... kiedy niemowlęciem była, cya załatwiał prawie wszystko.

Małe dzieci – mały kłopot, duże dzieci – cały Mount Everest problemów.

Strasznie żyrta była, ledwo co ją odstawiłam, zaczynała drzeć się wniebogłosy. Z lenistwa kładłam ją u siebie w łóżku, bo mi się chodzić nie chciało (wydeptałam ścieżkę na trasie sypialnia – pokój dziecienny). Gdybym sobie założyła licznik kilometrów, niejeden maraton byłby mój. I tym sposobem spała ze mną do ósmego roku życia, a cycek był w ruchu też długo (dlatego też dziś kwalifikuję się do zaimplantowania i liftingu). Tak czy siak, cycek był wielofunkcyjny, ale stracił na atrakcyjności – literalnie i metaforycznie.

Niemowlak dorósł i, choć plusem jest, że pieluch prać nie muszę, to za to muszę o wiele więcej. A mogę coraz mniej.

Dzisiaj mianowicie, żeby ją uciszyć, musiałabym ją zakneblować, najlepiej skarpetkami jej tatusia – straciłaby przytomność i byłby spokój. Matka – potwór – można by pomyśleć.

A ja tylko usiłuję przeżyć. Okazuje się, że osobnikiem Alfa w moim stadzie jest kocica Fizia, nawet nie kocur, nie przebił się, może dlatego, że kastrat.

Kochana, Twoje dzieci są troszkę starsze od mojej córki, powiedz no mi proszę, czy ta wojna pokoleń się kiedyś kończy i dlaczego to tak boli? Słowa ranią jak miecz samuraja, tną serce i zostawiają rany, które się nigdy nie zblizniają. Cała ta miłość, która jest we mnie, miesza się ze złością, bezsilnością i bólem nie do wytrzymania.

Może niektórzy nie powinni mieć dzieci? Może ja właśnie jestem tymi „niektórymi” – mam tak skomplikowaną osobowość, że chwilami nie mogę nad nią zapanować i zamiast ją sobie podporządkować, zmuszować i ustawić w szeregu na bacność, moja osobowość artystki połączona z DDA, DDD robi ze mną, co chce?

MK

Moja M.

Tak, karmiłam..., choć kiedy po porządnej awanturze (bo miałam cesarkę i mnie w pooperacyjnej umieścili) wreszcie przynieśli mi pierwotnego i dostawiłam go do wypelnionej wtedy jeszcze tzw. siarą piersi, spał jak zakłęty rycerz. Potem próbowałam kolejny raz i kolejny... a on nic. Dostawiam z lewej, z prawej, rana szarpie jak cholera, ale trza być twardym, a nie miętym, nie? No to dzielnie, dawać mi dziecko! A tu wstawać ni diabła, brzuszysko nawala, ale ja się nie zrażam. Tylko do cholery, czemu mały nie je? Tylko śpi? Rozumiem, choć mam dopiero 20 lat, że niemowlak dużo śpi, ale że nie jest głodny? Obok mnie dumne matki skutecznie podają swoim nowonarodzonym mleczne piersi, a ja? Choć moje przypominają nadmuchane piłki do siatkówki, nic... W końcu zdeterminowana wygramoliłam swe obolale ciało z łóżka i poszłam do oddziałowej. Okazało się, że dziecko owszem je – tylko z butelki! Wkurzenie moje nie miało granic, żałuj, moja droga, że w takim szale nie miałaś okazji mnie widzieć. Natychmiast kazałam się przenieść do pokoju matki z dzieckiem i mimo ostrzeżeń pielęgniarek, że po cesarskim „to ja sobie nie poradzę”, dopiełam w drugiej dobie swego. Bolało, byłam skonana, ale Michał zaczął wreszcie jeść uff. To była najpiękniejsza chwila mojego młodego życia. Ilu leż, nieprzespanych nocy, tabletek uspokajających będzie mnie kosztował mój przepiękny (był wyjątkowo cudny jak na noworodka) synuś, nawet w najśmielszych snach nie mogłam przewidzieć. A córka? Ta miała parcie na życie, zanim się obejrzałam, już była na świecie, kosztując mnie prawie reanimację i transfuzję. 8 miesięcy karmienia, potem szarpania i gryzienia.

W międzyczasie studia, bieganie, a to z brzuchem, a to z wózkiem, a to z nosidelkiem... i tak parę lat. Na nazwanego przez córkę po 20 latach „tzw. biologicznym ojcem” tatusia zbytnio liczyć nie mogłam. W moim stadzie, nie mając wyjścia, musiałam zostać samicą Alfa i to jaką! Tzw. „pan domu” zajęty własnymi rozrywkami, połączony sztywnym łączem ze swoim komputerem funkcjonował poza realiami. Cała życiowa logistyka należała do mnie. Nie miałam czasu na zastanawianie się, czy jestem szczęśliwa. Nie rozważałam swojego stanu, dopóki nie stał się tak boleśnie kłujący, rozrywający duszę, a potem i ciało. Wiedziałam, że dam sobie radę. Nie, M., nie było mi łatwo. Gryzłam z bezsilności palce, stałam w oknie wypatrując, czy syn nie wraca już z imprezy. Łykałam gorzkie łzy, gdy córka krzyczała, żeby oddać ją do domu dziecka... a potem pisała do mnie najpiękniejszy, najbardziej wzruszający na świecie list z okazji Dnia Matki. Zawsze, gdy go czytam, potoki słonych wzruszeń moczą mi dekolt. Czy i u Ciebie tak się stanie? Czy K. zrozumie, jak bardzo Cię rani i jak bardzo jest niesprawiedliwa? No cóż, nie mnie wyrokować. Wiem jedno, możemy dać tyle, ile możemy. Nasze matczyne intencje są naturalne, szczere, niewymuszone. Czas pokaże, czy ta ciężka praca, nazywana wychowaniem, przyniesie oczekiwane efekty? A może nieoczekiwane... inne. „Bo życie nie jest ani lepsze, ani gorsze niż zaplanowaliśmy. Jest po prostu inne.” I ja się z Wilianem zgadzam.

Twoja M.

MS

Późny wieczór, ale jeszcze 18 stycznia 2012

Kochana moja M.

Nieszczególnie czuję się pocieszona, choć odnajduję w Twojej historii wiele elementów wspólnych i teoretycznie powinno mi się zrobić lepiej. No, ale kto powiedział, że ma być lepiej? My, kobiety, jesteśmy szczęśliwe, gdy jesteśmy nieszczęśliwe. Im bardziej powalony facet, tym bardziej nas kręci. Radar mamy na typy niemalże patologiczne, a omijamy tych spokojnych, grzecznych, bezproblemowych, kulturalnych, nudnych po prostu. Syndrom Matki Teresy, rzecz by można.

Jeśli nie uratujemy jednego patola, to nie pójdziemy do nieba. A że droga do Nieba prowadzi przez Piekło, to już insza inszość, nieprawdaż, moja Droga M.? Tajemnica tkwi w tym, że wolimy do Piekła, bo trafiamy tam prosto z Raju. No wiem, że komuś się drogowskazy poprzestawiały, ale nie szukamy przecież logiki tylko upokorzenia, im większe, tym nam jest lepiej.

Raj jest tylko dla ciała, bo umysł łąduje w Piekło. Ale co nas nie zabije, to nas wzmocni. Silniejsza jestem, cięższą podajcie mi zbroję. Coś mi mówi, że też tak masz... Meandry kobiecego umysłu są niezbadane – widzisz jak płynnie przeszłam z tematu macierzyństwa do facetów. Chociaż wiesz, co? To przecież w zasadzie to samo – faceci są jak dzieci i też lubią nasze piersi.

Całuję, Twoja M.S.

MK

Mały smutek wkradł się przez chwilę nieuwagi przez małą cieniutką szparę w moich postanowieniach, że już nigdy, że już nie będę. 1 stycznia wkroczyłam pewnie w nowe, dojrzałe, wolne od nieprzemysłanych, kierowanych wyłącznie emocjami i pragnieniem bycia za wszelką cenę szczęśliwą decyzji. No i muszę Ci, kochana, powiedzieć, że idzie mi nieźle. Katuję się na siłowni, pracuję w pocie czoła i... nie wymyślam, nie projektuję, żyję.

A tu nagle, z wieczora... po fitballu, po zakupach i pogawędce z nieco przytłoczoną problemami przyjaciółką (36 lat przyjaźni zobowiązuje) smutek. No, ki diabel? Ano, to, co mam na wyciągnięcie ręki, ech... jakoś mnie nie nęci, nie porywa, choć dobre, czyste, prawdziwe. To, czego mieć nie mogę, pociąga, co za złośliwe fatum. No nic, zmięczam natrętne myśli hiszpańskim półwytrawnym, zapaliłam sobie świecę, taka już romantyczna, kurczę, jestem. Kotka śpi w pozie niewymuszonej, czasami chciałabym być nią. Darowałam jej nowe życie. Znaleziona na podwórku, wychudzona, nie miała siły stać, ani chodzić. Weterynarz, do którego ją natychmiast zawiozłyśmy (moja córka ma tak samo miękkie serce do zwierząt jak ja), powiedział: A coście mi tu za Oświećim przywiozły? Ja nie mam jak zastrzyku zrobić, sama skóra i kości. No, a widziałaś ją teraz! Niezła foczka, co?

Myślę sobie tak wieczornie, że i może mnie kiedyś ktoś odnajdzie i podaruje mi nowe życie? Pierwszy krok zrobiłam sama.

A wracając do wieku. Pamiętam, gdy byłam młodą, trzydziestoparoletnią kobietą po przejściach i spędzałam upojne wakacje nad jeziorem, kiedy beztrósco machałam nogami, siedząc jak za dawnych lat na po-

moście nad jeziorem usłyszałam tekst z ust B.: Wiesz, mamo, jak na „swoj wiek” (sic! Kurczę, jaki wiek?) to ty masz nawet ładne stopy! Niezłe, co?

I tym optymistycznym akcentem kończę na dziś, załączając Ci w mailu ukochaną etiudę z muchą (zawsze coś... zawsze k... coś...)

Twoja M.

MS

No, czułam pismo nosem. Takie wyciąganie z doła przyjaciółek zawsze ma jakieś konsekwencje. Nawet nie „jakieś”, ale dość konkretne i łatwe do przewidzenia. Zwłaszcza wtedy, gdy same jesteśmy w nienajlepszym stanie (choć wydaje nam się, że nic nam nie dolega).

Po takiej rozmowie przychodzi moment, gdy zostajemy same z naszymi myślami, w pustym domu, z kotem i własną nieterapeutyzowaną przeszłością, która mimo upływu lat, wcale nie boli mniej.

Kobieto, widzę, że z tematu dzieci zejść nie możemy, sorry, nie obraż się, ale i mażesz się jak dziecko i naiwna jesteś jak cała grupa przedszkolaków.

Czy jeszcze nie nauczyłaś się, że życie jest najczęściej do dupy? Nie dostajemy tego, czego chcemy, ale to, co akurat jest do wzięcia? Całkiem jak w sklepie w czasach PEERELU – kolejki na kilometr, każdy chce dostać szynkę, a dają tylko słoninę i to w dodatku spod lady. A my i tak się szaleńczo cieszymy i szybko chowamy do torby, nie wychodząc z ekstazy całą drogę do domu. Bo w końcu jednak COŚ udało nam się zdobyć. To świnia i to świnia. Wracamy do domu, kroimy na cienkie plasterki i zjadamy z chlebkiem, ewentualnie topimy i robimy smalczyk ze skwareczkami. Smakuje, ale jednak trochę inaczej niż szynka. Wiemy o tym, ale z czasem przyzwyczajamy się do smaku i przestajemy wybrzydzać. W końcu pewnego dnia łapiemy się na tym, że mogąc kupić szynkę, wybieramy słoninę.

Kochana, Ty jednak chcesz tej szynki, bo smalec Ci się przejadł. A ja się pytam – czyś Ty na głowę upadła? Swojski stół Ci się znudził? Może jeszcze się hrabinie marzy kawior i szampan, co? To zapraszam do wy-

pożyczalni wideo, tam na pewno znajdziesz coś dla siebie, jakiś prześlodzony, kłamliwy, całkiem z dupy wzięty film o idealnym życiu, w którym pragną nas faceci-widma (bo tak naprawdę są jedynie pobożnym życzeniem podświadomości autorki scenariusza), feromony krążą w powietrzu, zmysły szaleją, a my kochamy się do utraty tchu tylko z tymi, których chcemy i którzy chcą nas. Taka duża a taka głupiotka, no. Ja też taka byłam, ale dorosłam. Lajf is brutal and full of zasadzka. Piękne i mądre kobiety, z dominującą osobowością, na stanowisku, z sukcesami życiowymi skazane są na żywienie się przy wiejskim stole. Bo wszyscy szlachetnie urodzeni mężczyźni wolą mniej wykwintne potrawy, gdyż nie lubią konkurencji. Po tych kulinarnych wywodach zostaną zapewne okrzyknięta szowinistyczną świnią i zlinczowana. Mam jaja, sama stanę pod pręgiem. Niech im będzie, ale chociaż, mimo całej mojej efemeryczności, egzaltacji, permanentnej nieobecności duchem w tym wymiarze, ciałem jestem obecna bardzo. I uwierz mi – z niejednego stołu jadłam. Jeśli masz na coś ochotę, to idź i sobie to po prostu weź – na wynos lub na miejscu. A jeśli wziąć z różnych powodów nie możesz – zmień menu. Wyjdzie Ci to na zdrowie. Obiecuję! Całuję – Twoja Nigella Lawson :-)

MK

Mądrości Państwa Środka.

Tak, z tymi kolejkami i szynką... to ja pamiętam taki moment, kiedy urodził się M., pieluchy oczywiście tetrowe, przykładowie (o wynalazku cudownego pampersa ni widu, ni slychu) dziwnym trafem stawały się raz błękitne, raz różowe, w zależności od tego, jaka część niemowlęcej garderoby prana w Cypisku akurat „puściła”. Ale żyło się jakoś inaczej, wolniej, radość sprawiało człowiekowi zdobyte z Węgier mydelko Fa i dezodorant Bac. Tak, pamiętam z jaką tęsknotą patrzyłam podczas lekcji na lśniąca we włosach mojej koleżanki (wtedy tzw. prywatna inicjatywa, a fu! ja w sumie też fuj, bo inteligencja mieszana z bohemą – sic!) automatyczną spinkę do włosów z napisem Made in France, ech, ile ja bym wtedy dała za taką spinkę. A dzisiaj? Jak słucham tych dialogów przed ladą: a jaką szyneczkę Pani podać? Dziadunia, Babuni, z beczki, góralską, wędzoną, smażoną, paloną... pięknie nafaszerowaną chemią, panusia wykrzywia nosek, a dzieciaczek przy niej – tej nie kcem i tej też nie kcem, kcem parówkę, chemiczną, z papierem toaletowym, uszami, galkami ocznymi, skórą... ale jest! To szlag mnie trafia, ale i refleksja nachodzi. Brr, co my jemy? I nic tak nie smakuje, jak ser wędzony roboty mojego Taty i jego domowe od A do Z wędliny rodem z lasu podlódzkiego.

„Chcieliście Polski? No to ją macie, skumbrie w tomacie pstrąg.”

A skoro kulinarnie... c.d. w aspekcie menu poruszonego. Czasami chrapkę na kawior i krewetki mam, ale i zalewajką (zwłaszcza własnej roboty) nie gardzę, nie, wręcz lubię. Tylko wiesz, w tej kuchni chciałabym się czuć jak u siebie. Nie musieć wdziawać wysokiej sztywnej białej

czapy i udawać kogoś innego niż jestem. Mogłabym jadać tradycyjnie, z lekkim szalem od czasu do czasu (sama bym nawet upichciła), byleby towarzyszyć stołu wdzięcznym i naturalnym odbiorcą, towarzyszem śniadań, obiadów i kolacji był. Ale daleka jestem od postawy prezentowanej, niestety, chyba w rozpaczliwej pogoni za skrawkiem czegoś ciepłego i puchatego (znasz tę bajkę?) przez niektóre kobiety z godnie z regułą „niechby pił, niechby bił... byleby był”. Sorry, no nie! Godność trza mieć!

Rozmawiam do wewnątrz. Tłumaczę sobie sama, patrząc sobie w oczy... potem opowiadam o tym... sobie. Takie salto mortale do wewnątrz. Idzie mi nawet nieźle, ale do cyrku się nie zapiszę, bo całe życie, to jeden wielki cyrk.